

Ewa Nowakowska

CIEŃ SZANSY



**nie przepraszamy
za PRL!**

CIEŃ SZANSY



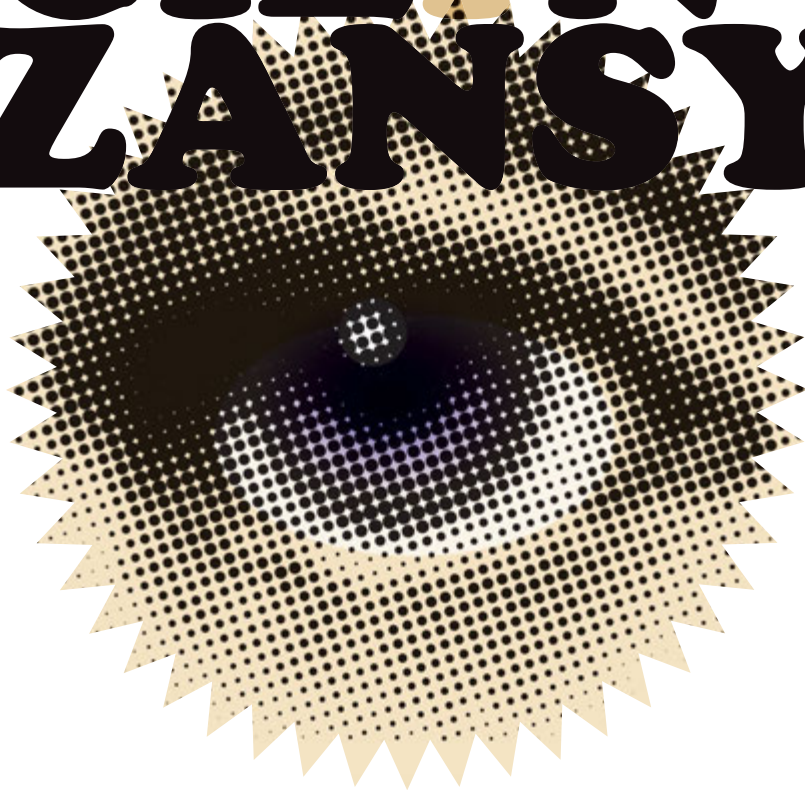


2021

[Kup książkę](#)

Ewa Nowakowska

CIEŃ SZANSY



**nie przepraszamy
za PRL!**

Projekt okładki: Marek Wajda
Redakcja: Elżbieta Ptaszyńska-Sadowska
Korekta i indeks: ADK Media

Skład i łamanie: Anna Rosiak

ISBN 978-83-64407-92-5

Copyright 2021 by Fundacja Oratio Recta
Copyright 2021 by Ewa Nowakowska

Wydawca:
Fundacja Oratio Recta
ul. Inżynierska 3 lok. 7
03-410 Warszawa
www.tygodnikprzeglad.pl
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Druk i oprawa:
Hera Drukarnia Offsetowa Sp. z o.o. Sp.k.
ul. Słoneczna 2, 05-270 Marki

Spis treści

I.	Panienka ze dworu. Zaczynij myśleć o myśleniu!	7
II.	Pocztówka z Ravensbrück	40
III.	Cenzura, której nie ma, chociaż jest	83
IV.	Kwaśne gęby pełne zasad	116
V.	Po długim poście – rozkoszne zapusty	149
VI.	„Plotkarka” wypiera „Poezję”	179
VII.	Cyrograf i inne akty dobrej woli	210
VIII.	Nowy sarmatyzm	242
IX.	Melancholia. I to minie!	279
X.	Co czai się za zakrętem?	312
	Literatura	330
	Indeks nazwisk	334

Panienka ze dworu. Zaczynj myśleć o myśleniu!

Dorożkarz w okrągłej czapce odpina od ściany kozła ławeczkę i sadza mnie na niej tyłem do kierunku jazdy. Ruszamy. Zaintrygowana kręcę głową z lewa na prawo i z powrotem. Kamienice Zamojskiej umykają w przeciwną stronę, jakby to one biegły, a dorożka stała w miejscu. Na przeciwko, na skórzanej kanapie, siedzi Mama i pan mecenas. Mama jest na przemian to smutna, to poirytowana. Wyrzuca z siebie:

– Mówiłam mu wiele razy: przemilcz, ustąp, nie popisuj się tym swoim idealizmem! Zrozum, że przyszły inne czasy. Przecież ci panowie towarzysze nic z twoich wywodów nie rozumieją. Oni wiedzą swoje, mają instrukcje z góry!

Mecenas ujmuje dłoń Mamę w nicianej rękawiczce. Pociesza ją dobrotliwie:

– Pani Halszko, postaramy się przekonać sąd, że to właśnie idealizm, a nie sabotaż. Ale łatwo nie będzie, bo sytuacja jest raczej bez precedensu!

Jedziemy na dworzec kolejowy, a stamtąd pociągiem do Chełma, na spotkanie z Tatusiem. Nie wiem, gdzie jest Tatuś i co tam robi. Boję się pytać. Jednak z zasłyszanych fragmentów rozmów, z przyciszonych głosów ciotek („A to się Stanisław doigrał. Zamknęli go!”), ze szlochów Mamę i zasępionej twarzy Babuni domyślałam się czegoś strasznego.

– Zapewniam pana, że to uczciwy człowiek! – mówi Mama.

– Ależ pani Halszko, tu nie chodzi o uczciwość, tylko o politykę! Chociaż... Nie, przepraszam, tu chodzi o nieuczciwość, o próbę złodziejstwa, której bezczelnie nadaje się pozory walki politycznej. Nieuczciwość tych, którzy oskarżają pani męża, rzecz jasna.

Mój Ojciec twierdził, że ludzie są równi i każdy ma jakąś dobrą stronę, tylko nie każdemu dane jest odkryć ją w porę i wykorzystać dla dobra własnego i innych. Był przedwojennym socjalistą. Z kampanii wrześniowej i niewoli wrócił z tyfusem, podobno długo lawirował na granicy śmierci. Do końca życia bardzo cierpiał z powodu nawracających chorób układu pokarmowego. Był wysoki i bardzo szczupły. Jego niebieskie oczy z czasem wyblakły, ale gęste włosy zachował do końca, choć ich czerń z czasem pokryła się srebrem.

Ojciec wierzył, że można stworzyć sprawiedliwe społeczeństwo bez przedwojennych podziałów na środowiska ostentacyjnego dostatku i upokarzającej biedy, na ludzi „lepszych”, trwoniących majątki, i „gorszych”, którzy swoją niewolniczą pracą od pokoleń te majątki tworzyli. Wyznawał oświeceniowe idee wolności, równości i braterstwa. Jego ulubionym filozofem był profesor Tadeusz Kotarbiński, twórca etyki niezależnej i autor idei opiekuna społecznego, która była Ojcu szczególnie bliska. Poznał profesora przed wojną w redakcji „Racjonalisty”, miesięcznika Warszawskiego Koła Intelktualistów przy Polskim Związku Myśli Wolnej. „Miałem zaszczyt poznać” – podkreślał, gdy prosiłam go o opowieści z dawnych lat. Ojciec często odwoływał się do aforyzmów profesora. „Lepiej nie mówić nic, niż mówić o niczym” – nierzadko mitygował rozplotkowane towarzystwo, podkreślając, że nie on to wymyślił, on tylko cytuje mistrza. Mawiał też: „Bywają specjaliści od pilnowania własnych praw i cudzych obowiązków”. Inna myśl mistrza pojawiała się przy okazji sporów światopoglądowych: „W obliczu ogromu zła na świecie byłoby bluźnierstwem posądzać Boga o istnienie”.

„Komunista!” – mówił o Ojcu przez zaciśnięte zęby wuj Henio. Wuj przyjaźnił się z księżm z lubelskiej katedry i należał do grupy wyróżnionych, którzy podczas uroczystości diecezjalnych nosili baldachim nad biskupem. „Idealista! Niepoprawny romantyk!” – wzdychała Babunia, matka mojej Mamy. Ona do katedry chodziła tylko z ważnych rodzinnych okazji, jak śluby, chrzciny czy pogrzeby, ale pozwalała czasem swojej córce Jance zanieść tam któryś z pięknych kwiatów pyszniących się na jej parapetach. Janka wraz z godnością żony bogobojnego Henia

Panienka ze dworu. Zaczynij myśleć o myśleniu!

przyjęła także jego poglądy, czego Babunia nie aprobowała. Dawała temu wyraz mową ciała, rzadziej słowem. Ale kwiaty rozdawała chętnie, bo – jak mówiły zazdrosne sąsiadki – „darzyły jej się bez opamiętania”.

Ojciec był z wykształcenia ichtiologiem, czyli specjalistą od ryb. Jadał je bez entuzjazmu, rzadko wędkował, ale jego zawód sprawił, że część dzieciństwa spędziłam na wsi. Starzy mieszkańcy mówili tam o mnie „panienka ze dworu”. Nie rozumiałam, bo dwór to była dla mnie otwarta przestrzeń poza domem. „Czy mogę wyjść na dwór?” – tak należało zapytać, chcąc pójść do ogrodu. Ojca ten „dwór” doprowadzał do szewskiej pasji. „To nie panienka, tylko Eliza, koleżanka pańskiej wnuczki Krysi, a to już nie jest dwór, tylko gospodarstwo rybackie, które należy do nas wszystkich, proszę o tym nie zapominać!” – złościł się. Ale oni wiedzieli swoje i tę złość przyjmowali jako coś bardziej naturalnego niż „pan”, a nie „ty” lub „wy”. Na „proszę” nie umieli zareagować, przestępowali z nogi na nogę. „Oni ciągle żyją w dworskich czasach” – kwitowała Babunia.

Ojciec został dyrektorem Państwowych Gospodarstw Rybackich, czyli PGR-ów ze stawami. Piszę w liczbie mnogiej, ponieważ kilka razy zmieniał miejsce pracy, a my wraz z nim – miejsce zamieszkania. Gdy zorganizował od podstaw lub uporządkował po poprzednim dyrektorze jedno gospodarstwo, przenoszono go służbowo do następnego. Organizował, porządkował, miał wyniki... Wtedy natychmiast „był rzucany na inny odcinek frontu odbudowy kraju”, jak mówiono sarkastycznie w rodzinie. *I da capo al fine.*

Dlatego jako dziecko mieszkalam we dworach, czyli pałacykach po dawnych właścicielach ziemskich. Ich majątki rozparcelowano w wyniku reformy rolnej między dworskich wyrobników i bezrolnych chłopów albo przekształcono w gospodarstwa państwowe. We dworach mieszkali też inni pracownicy administracji PGR-ów. W dawnych salonach mieściły się świetlice, do których przyjeżdżało objazdowe kino. W świetlicach świętowano dożynki i grudniową choinkę. Wszystkie dzieci dostawały wówczas identyczne paczki ze słodyczami. Jeśli możliwości lokalowe na to pozwalały, Ojciec zakładał we dworach przedszkola. Dzieci pracowników administracji demonstrowały nieufnym rodzicom, że można tam posyłać potomstwo, bo to miejsce pożyteczne i godne zaufania.

Jedno z pierwszych wspomnień. Jest słoneczny dzień, siedzimy z Mamą na trawniku pod drzewem. Mama głośno czyta mi bajki Brzechwy z grubego tomu w twardej okładce z wizerunkiem Lisa

Witalisa. Podchodzi do nas jedno dziecko, potem drugie i następne. Siadają na kocu. Wkrótce zaczyna brakować miejsca. Kolejne dzieci stoją. Potem każde chce zajrzeć do książki, bo też jest w niej co oglądać! Książka została artystycznie wydana przez Naszą Księgarnię. Każda z wklejonych ilustracji Jana Marcina Szancera była poprzedzona ochronną bibułą. Ileż emocji wiązało się z samym podnoszeniem tych bibulek! Dostawałam również wiele książek drukowanych na szarym papierze, ze skromnymi ilustracjami albo bez ilustracji, ciekawych lub niewartych pamiętania. Tym, co utkwilo mi w pamięci, była ich stała cena: 2,40 zł. Tyle kosztowały nie tylko książki dla dzieci, ale i klasyka, drukowana wówczas w masowych nakładach.

Dwór zawsze różnił się od okolicznej zabudowy. Był to rozległy, zwykle jednopiętrowy dom z kolumnami wspierającymi duży taras. Przed nim znajdował się okrągły klomb, wokół którego biegł podjazd. Wjeżdżało się przez bramę odległą od budynku zwykle o kilkaset metrów. Dookoła park. Dwory, do których przyjeżdżaliśmy, a zwłaszcza ich otoczenie, nie wyglądały dobrze. Tu zniszczone ogrodzenie, tam wyrwana brama. Za bramą poniewierały się jakieś stare sprzęty, zerwane gałęzie, śmiecie. W jednym z parków sterczały potężne pnie po świeżo wyciętych drzewach. Ojciec chodził między nimi ze stężałą twarzą i rękami zaciśniętymi w pięści. „Co za głupota! – powtarzał. – Jaka straszna dewastacja!”.

Zawsze po objęciu funkcji zarządzał w nowym miejscu wielkie sprzątanie, co nie budziło entuzjazmu pracowników. Mamrotali, że przecież teraz to już niczyje, dziedzic chyba nie wróci? Ojciec tłumaczył, że nie niczyje, tylko wspólne, czyli w równej mierze każdego z mieszkańców. I dlatego trzeba szanować. Nie bardzo mu ufali, zwłaszcza na początku. Byli niepewni, spięci, nie rozumieli nowych porządków. Przecież to oni wcześniej niszczyli i szabrowali. Trochę ze złości na marny los, trochę dlatego, że nikt nie pilnował i można było. A jak można...

Ojciec całe dni spędzał „w terenie”. Starałam się mu towarzyszyć, wolałam to niż zabawy z dziećmi. On pierwszy kłaniał się ludziom, rozmawiał z nimi. Przekonywał mnie, że każdemu należy się szacunek. Każdy ma swoją opowieść, której należy wysłuchać. Od każdego można się czegoś nauczyć. Miałam wątpliwości. Uczyć się od tych, którzy mówili gwarą, zaciągali dziwacznie, zaczynali i nie kończyli zdań albo nagle urywali swoją opowieść na „ten, tego, panie...”?

Panienka ze dworu. Zaczynij myśleć o myśleniu!

Mój Ojciec przekonywał, że jest i będzie z tym coraz lepiej. Ich dzieci się uczą, być może pójdą na uniwersytety, a wnuki... One dopiero będą prawdziwie nowoczesnymi ludźmi. Skąd brał tę pewność? Kibicował dalszej nauce dzieci pracowników. Przekonywał, że warto posyłać je do szkół średnich, załatwiał miejsca w internatach, gratulował postępów w nauce. Był dumny, że „nasze dzieci” dystansują rodziców. Te najzdolniejsze, ambitne i pracowite nie napotykały barier w dostępie do studiów; przeciwnie, jako dzieci robotników rolnych były uprzywilejowane podczas rekrutacji. Stypendia pozwalały im utrzymać się w mieście.

Ojciec czytał nocami. W dzień to ja myszkowałam w jego szafie bibliotecznej. Przedwojenny „Przegląd Filozoficzny” zaintrygował mnie zakładką z kwiatami Wyspiańskiego. Obliczyłam, że w roku wydania tego czasopisma Ojciec miał już 30 lat. Urodził się w roku 1905. A zakładka tkwiła przy *Myslach o myśleniu* Tadeusza Kotarbińskiego. Bardzo spodobał mi się ten tytuł. „Myśli o myśleniu, zaczynij myśleć o myśleniu, ktoś tu myśli o myśleniu” – śpiewałam pod nosem na wymyśloną melodię.

Z beletrystyki Ojciec miał najwięcej książek Josepha Conrada, Jacka Londona, H.G. Wellsa, Juliusza Verne’a, Roberta L. Stevensona, Aleksandra Dumasa, Jamesa F. Coopera, Karola Dickensa, Victora Hugo, Lwa Tołstoja, Fiodora Dostojewskiego. Głównie książki o silnych mężczyznach i potężnej przyrodzie. Wcześniej zaczęłam je podkraść i czytać. Podsuwane przez Mamę „Anie” były mniej atrakcyjne od lorda Jima i całej tej męskiej kompanii. Gdy na wakacje przyjeżdżały kuzynki z miasta, zamiast je zabawiać, ukrywałam się z książką w parku. Byłam, mówiąc językiem moich wnuków, poza zasięgiem. Kuzynki, które gościliśmy, nie mogły mnie znaleźć.

W dworskich stawach Ojciec nauczył mnie pływać. Od przepustu do przepustu, od grobli do grobli... Coraz płynniej, coraz szybciej, z rosnącą przyjemnością. Z zachwytem. Pływanie stało się moją namiętnością na całe życie. Ilekroć znalazłam się w pobliżu jeziora, rzeki lub morza, musiałam je ośwoić. Objąć przyjaźnie ramionami, zawisnąć na taflি wody między otwartym niebem a tajemniczym dnem. Ogarniała mnie euforia, gdy płynęłam daleko od brzegu, samotnie, w ciszy.

Na początku nowego tysiąclecia pływałam w Oceanie Spokojnym, w Viña del Mar, niedaleko słynnego niegdyś portu pirackiego Valparaíso w Chile. Pewnego razu zstępująca fala chciała mnie zabrać, wciągnąć w głąb. Z wielkim wysiłkiem obroniłam się, dotarłam do brzegu i... dziś tego żałuję. Im trudniej mi żyć i walczyć z codziennością, tym

częściej żałuję tamtej wygranej walki z falą. Dlaczego się nie poddałam? Czyż nie byłoby dobrodziejstwem zakończyć życie w morzu, w ukochanym żywiole, do którego ciągle tęsknię? Emocje wzbudzane przez wielką wodę sięgającą horyzontu często przychodzą do mnie w snach. Uważam za wielką niesprawiedliwość losu, że nie dane mi było urodzić się nad brzegiem oceanu.

Jako sześciolatka poszłam do wiejskiej szkoły. Dzieci z wioski przywitały nas, mieszkańców PGR-u, pogardliwymi okrzykami: „Patrzajta, dworusy przyszły!”. Nasi odpowiedzieli im z równą niechęcią: „Głupie chamy!”. Chodziłam do szkoły ze znajomymi „dworusami”, siedziałam w ławce z bardzo sympatyczną „chamką”, ale czułam się obco wśród jednych i drugich. Egalitarne wyobrażenia Ojca boleśnie konfrontowały się z rzeczywistością. Używałam chusteczek do nosa, obrębianych kordonkowym szlaczkiem na szydełku, a oni – jedni i drudzy – smarkali na ziemię, ujmując nos w dwa palce. Dworusów i chamów łączył używany poza lekcjami język, odmienny od znanego mi z domu i z książek. Wołali: „Chodźta!”, „Weźta se!”. Pytali: „Cego chceta?”, „Dzie wy pośli?”. Niektóre dzieci z PGR-u wyróżniał też akcent i śpiewna wymowa. Te przezywano „ruskimi” albo „chachłami”. Zgodnie gardziły i pomiatały nimi i „chamy”, i „dworusy”. Mnie nie dokuczali. Może chronił mnie nimb panienki ze dworu?

„Nie ruskie, tylko repatrianci zza Buga, Polacy!” – zdenerwował się Ojciec zagadnięty w tej sprawie. Członkowie PGR-owskiej społeczności byli szczególną mieszanką ludzi zewsząd. Dawni wyrobnicy u dziedzica, mieszkańcy czworaków, przywykli do niewolniczej pracy i nędznego wynagrodzenia. Wcześniej poniżenie i wyzysk tworzyły ramy ich życia. Drugą grupą byli najbiedniejsi z repatriantów, którzy na Wschodzie żyli jak w XIX wieku – bez elektryczności, bez butów. PGR oznaczał dla nich wyraźną poprawę bytu. Nie brakowało też niebieskich ptaków, szukających nie stabilizacji życiowej, tylko miejsca na tymczasem, żeby przecze-kać albo się ukryć. I wreszcie byli ludzie niezaradni życiowo, nieudacznicy, którzy w nocy płodzili kolejne dzieci, a w dzień zasypiali nad stawem albo w polu. W mieście by sobie nie poradzili, a w PGR-ze znajdowali bezpieczną przystań. Ich wykształcenie nie wykraczało poza szkołę podstawową. Zdarzali się też analfabeci. Ojciec zachęcał ich do nauki. Były jakieś kursy, które prowadzili studenci przyjeżdżający w niedziele w ramach czynów społecznych.

Panienka ze dworu. Zaczynij myśleć o myśleniu!

Zapamiętałam postacie, które mnie intrygowały. Jachu chodził latem i zimą w drewniakach i przydziałowym roboczym drelachu. Snuł się ze wzrokiem wbitym w ziemię, zawsze sprawiał wrażenie wystraszonego. Ustępował ludziom z drogi, omijał ich szerokim łukiem. Z nikim nie rozmawiał, ale do siebie mamrotał bez przerwy. Powszednie ludzkie radości były mu obojętne. „Ot, durak, we łbie mu się pomieszało” – mówili o Jachu inni Zabuzanie. Ale pracował chętnie, podobno zaczynał pierwszy, a kończył ostatni. Ojciec mówił, że Jachu ma za sobą bardzo dramatyczne przejścia na Syberii. Jakie – o tym obiecywał porozmawiać, gdy trochę podrosnę.

Pani Wala też była samotna, ale ona garnęła się do ludzi. Zapraszała do siebie, pokazywała fotografie synów zaginionych na wojnie. Często stawała herbatą w szklankach, które wstawiała do ozdobnych metalowych oprawek z uszkiem. Chętnie i często śpiewała, ale były to piosenki tak melancholijne, że chciało się płakać. Pomagała wszystkim potrzebującym. Pobitym przez mężów kobietom i bezpańskim psom, kotu z odmrożonymi łapami i krowie, która nie mogła się ocielić. Pewnej nocy została napadnięta, poturbowana i ograbiona. Chorowała potem długo i już nigdy nie była tą samą panią Walą. „Cóż, każdy dobry uczynek musi zostać przykładnie ukarany, a Wala ma ich na sumieniu więcej niż legion tak zwanych świętych” – orzekł Ojciec. Upłynęło trochę czasu, nim zrozumiałam sarkazm zawarty w tych słowach.

Ziobrzyna przychodziła do nas podczas wizyt Babuni. Raz została przez nią zaproszona na poczęstunek, gdy stała przy klombie ze swoją szóstką drobiazgu (siódme w drodze). Potem pojawiała się regularnie, uznała widocznie, że zaproszenie jest ponadczasowe. Najmłodsze z dzieci trzymała na rękach, nieco starsze czepiały się jej spódnicy albo kolan, pozostałe rozbiegały się po całym mieszkaniu. Nie słuchały matki. Ta wydawała się kompletnie bierna. Życie płynęło, a ona poddawała się jego nurtowi. Mówiła, że trudno jej się doliczyć, ile już ma tych „dziecków”. Kiedyś słyszałam, jak Babunia tłumaczy Ziobrzynie, że gdyby wybrała się do lekarza w mieście, to on by jej doradził, co zrobić, żeby na posiadanych już dzieciach poprzestać. Ta słuchała, kiwała głową, ale wkrótce znowu chodziła z brzuchem. Skończyło się na dziewiątce tylko dlatego, że jej mąż po pijanemu zasnął z papierosem w stogu siana i spłonął.

Nie był wyjątkiem. Piła większość mężczyzn – kiedy mieli za co. Jedni na wesoło, śpiewając w powrotnej drodze do domu, inni na ponuro, szukając okazji do bójki. Gdy nie znaleźli chętnych, wyżywali się na

„babach”, które z pokorą znosiły domowych oprawców. „Wiadomo, jak chłop baby nie bije, to jej wątroba gnije. A jak bije, to kocha” – usłyszałam któregoś razu w domu koleżanki. Pozycję kobiet określał wierszyk wydeklamowany kiedyś w klasie przez wyrośniętego i złośliwego matosa:

*Baba to stworzenie boże,
co powinno stać w oborze,
a ze względu na kształt dupy
wziął ją człowiek do chałupy.*

Nie pojmuję, jak z tej ludzkiej zbieraniny można było utworzyć zespół zdolny do odpowiedzialnej pracy. A jednak Ojcu to się udawało. On naprawdę wierzył w ludzi, choć często nie miał podstaw, by ludziom wierzyć. Oszukiwali go. Kradli. Księgowy w naszym ostatnim miejscu pobytu został przyłapany na realizacji fałszywych rachunków. Gdy Ojciec zażądał wyjaśnień, ten wycelował w niego z dubeltówki. To podobno on wysłał donos. Przyjechali jedni kontrolerzy, potem drudzy. Ojciec oprowadzał, wyjaśniał, pokazywał dokumenty. Pierwsi chcieli go słuchać, drudzy już nie. Postawili ultimatum. Albo zabiorą ze sobą do Warszawy kolekcję trofeów myśliwskich porozwieszanych w świetlicy i kwita, wszyscy będą zadowoleni, albo... Oczywiście nie zamierzali w żaden uzasadniony prawem sposób pokwitować tej wywózki. Ojciec nie lubił „suszonych pańskich relikwii”, jak nazywał te wszystkie poroża jeleni, wypchane głowy dzików, skóry wilków itp. Uważał jednak, że są teraz mieniem społecznym, a jego obowiązkiem jest pilnowanie wspólnego dobra.

„Tak im powiedziałem, bo przecież byłaby to najzwyklejsza kradzież!” – tłumaczył Mamie. Ona była innego zdania. Brzydziła się „relikwii”. Uważała, że to niewygórowana cena za spokój, a miejscowym i tak zwierzęce truchła do niczego się nie przydadzą. Ojciec obstawał przy swoim. Miał jasno określone zasady, których trzymał się bez względu na okoliczności. To już rzadki gatunek ludzi.

Dziś, gdy najwyżej stawianym celem jest indywidualny sukces, który uświęca wszelkie środki, pozytywistyczni idealisci wydają się postaciami nie z tego świata. A przecież to oni podnieśli kraj z wojennych ruin. Zlikwidowali analfabetyzm. Przeprowadzili elektryfikację wsi, zbudowali przemysł. Na szczęście dla siebie wielu z nich umarło, zanim do głosu doszli koryfeusze tak zwanej polityki historycznej i nazwali ich „funkcjonariuszami zbrodniczego systemu totalitarnego”. Tym z pokolenia

Kolumbów, którzy przeżyli wojnę i zbudowali kraj na nowo, fałszerze historii zabrali dobre imię. Osobnicy bez właściwości i bez zasług wyspecjalizowali się w zakłamywaniu dziejów i szarganiu biografii ludzi, którzy robili to, co w danym momencie należało. Nie niszczyli – budowali.

Ojciec nie kupił sobie spokoju i przedłużenia dyrektorskiej posady za cenę wyrzeczenia się zasad. Albo – jak uważali inni – za cenę wyleniałych, psu na budę potrzebnych łbów, skór i poroży. I tak zakończył się wiejski rozdział naszego życia. Ojciec wyszedł z więzienia po październikowej odwilży w 1956 roku. Do emerytury pracował jako urzędnik. Ciotki czasem jątrzyły:

– Przecież masz wykształcenie, jeszcze mógłbyś być kimś, a ty tak bez ambicji...

Pewnego dnia uciął te przytyki. Wyjął z biblioteki *Buddenbroków* Tomasza Manna i głośno przeczytał:

– „Synu mój, pilnuj za dnia interesów swoich, ale nie imaj się takich, które by ci sen mącić mogły”. Ta rada stała się teraz moim drogowskazem – powiedział wścibskim ciotkom.

Nie znaczyło to jednak, że zamknął się w wieży z kości słoniowej. Chodził do biblioteki i antykwariatu, grał w szachy i wymieniał książki ze znajomymi, czytał. Wracał do lektury szczególnego numeru „Nowych Dróg” – tego z października ’56 właśnie, zawierającego uchwałę VIII Plenum KC PZPR i przemówienia jego uczestników, od Edwarda Ochaba do Władysława Gomułki. Prosił, żeby mu tego nie wyrzucać podczas domowych porządków, bo „to ważne świadectwo czasów”. No i przetrwała ta pożółkła broszura z mottem *Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się!* w mojej bibliotece. Pełna jest sloganów, jakimi ludzie władzy w każdym czasie uzasadniali swoje istnienie i bronili przywilejów. Teraz „Polacy patrioci”, wtedy „klasa robotnicza” była obiektem zalotów ze strony polityków. „Partia musi konsekwentnie pokonywać kurczowe trzymanie się przestarzałych doktryn i schematów, próby cofania się i nawrotów do starych metod kierowania i rządzenia” – napisano w uchwale sprzed sześćdziesięciu lat. Dzisiaj partia rządząca też odrzuca przestarzałe doktryny i schematy, odcina się od starych metod rządzenia. Ustrój się zmienił, wyrosły nowe pokolenia, pejzaż za oknem jest inny, ale ludzie władzy uciekają się do takich samych, makiawelicznych rytuałów, aby manipulować obywatelami dla własnych celów.

Gdy Ojca uwięziono, wróciliśmy z Mamą do Lublina. Miałśmy bardzo skromny dobytek. Jak mówiła Babunia: „Dwie przeprowadzki są

jak pożar, trzy to już trzęsienie ziemi, a was dotknęło coś jeszcze gorsze-
go”. To u niej, w starej kamienicy niedaleko katedry, tymczasowo za-
mieszkałyśmy. Poszłam do szkoły kilka ulic dalej.

*Lublin na pagórkach przysiadł
Sam był i cisza.*

Tak pisał zakochany w mieście przedwojenny poeta Józef Czechowicz. Na tych pagórkach między rzeką Czechówką a jeziorem, które z czasem przeobraziło się w otoczoną bagnami rzekę Bystrzycę, ludzie osiedlali się już w V wieku. Z czasem powstała tu jedna z kresowych twierdz, na którą napadali Rusini, Litwini, Prusacy, Tatarzy. Niektórzy zostawali tu na stałe. Później przybywali też Ormianie, Żydzi, Niemcy. Z tego tygla narodowości powstawała nowa społeczność. W 1317 roku Lublin stał się miastem na prawie magdeburskim. Został otoczony murami obronnymi i zamknięty bramami – Krakowską i Grodzką. Stoją do dziś, wraz z kamienicami odbudowanymi w stylu renesansowym po pożarze w 1575 roku. Po obu rzekach pozostały wąskie kanałki, zagłębienia terenu napełniające się wodą po obfitszych deszczach. Ale w rodzinnych albumach zachowały się fotografie Mamy i jej siostr w towarzystwie przyjaciół zrobione w latach trzydziestych na miejskiej plaży nad rozległą wówczas Bystrzycą.

Nie pamiętałam miasta, w którym przyszłam na świat. Brakowało mi otwartych przestrzeni i zapachów łąki nad stawem ukrytym wśród starych parkowych drzew wokół ostatniego z „naszych” dworów. Ten staw w głębokim parowie był zapewne pozostałością dawnego koryta rzeki płynącej w pobliżu. W tajemnicy przed wszystkimi chodziłam tam i kładłam się w wysokiej trawie, obserwując paradę chmur. Wyobrażałam sobie, jak przemierzając się wraz z nimi, oglądam najpiękniejsze zakątki ziemi: piramidy w Afryce Północnej i Ameryce Południowej, afrykańskie sawanny, góry lodowe na Antarktydzie. Podziwiałam bezmiar nieba, zakrzywiający się jak opiekuńcze ramiona Babuni. W mieście czułam się jak w ciasnej klatce. Brakowało mi horyzontu. Tęskniłam za wiejskimi nocami, których ciszę przerywały jedynie odgłosy przyrody: świerszcze, słowiki, pohukujące sowy. Każdy nocny odgłos miasta – ostry, sztuczny, niesiony echem w wąwozach ulic – stawiał mnie na baczność. Leżąc w ciemności z otwartymi oczami, przypominałam sobie delikatne melodie liści, zbóż i traw, wśród których tak lubiłam ukrywać się z książką.

Panienka ze dworu. Zaczynij myśleć o myśleniu!

W kręgu nowych, miejskich koleżanek czułam się równie obco jak między wiejskimi dziećmi. Tu także nie byłam na swoim miejscu. Gdzie jest to miejsce, zastanawiałam się, wędrując palcem po starych mapach i atlasach, znalezionych w szafie bibliotecznej. Wczytywałam się w obco brzmiące nazwy i wyobrażałam sobie ludzi, którzy tam żyją. Czy wśród nich czułabym się mniej samotna? Babunia, która zastała mnie podczas tych wędrówek, pokazała mi na mapie Paryż.

– Tam przed wojną mieszkała moja siostra, przy rue Lauristone. Z okna widać było wieżę Eiffla. W tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku weszłam na nią, chociaż się bałam, bo wiał okropny wiatr – powiedziała ze smutkiem.

Nabrałam nadziei, że odwiedzimy tę jej siostrę i ja też wejść na wieżę.

– Nie, nie! – zaprzeczyła Babunia. – Oni wszyscy nie żyją od czterdziestego drugiego!

Wiele lat później dowiedziałam się, że lipiec 1942 roku to był czas deportacji paryskich Żydów do obozów śmierci.

U Babuni odwiedzali nas krewni: siostry Mamy z rodzinami, rodzina dziadka, który zginął na wojnie. Trudno było znaleźć spokojny kąt i ukryć się w nim z książką. Ciotki plotkowały szeptem: „Jakie to dziwne dziecko! Ten wyjazd na wieś, ta fiksacja Stanisława na punkcie postępu, sprawiedliwości i nowych porządków bardzo im zaszkodziła! Zdziczeli. Biedna Halszka! Z jej aparycją nie zasłużyła na taki los”.

Pewnej niedzieli zostałyśmy zaproszone na obiad do cioci Janki, ale wykręciłam się koniecznością odrabiania lekcji. Dla uwiarygodnienia alibi rozłożyłam na stole podręczniki, piórniki i kałamarz, z którego struga granatowego płynu zaczęła się wylewać w tym samym momencie, gdy Mama zawołała od drzwi:

– Najpierw sprzątnij ze stołu, Babunia rozłożyła dziś najpiękniejszą serwetę, mogłabyś ją niechący pobrudzić!

I wyszły, a ja zamieniłam się w słup soli. Zawartość kałamarza wsiąkała w adamaszkową serwetę z haftem richelieu, która jeszcze przed chwilą była nieskalanie biała. Unikatowe rękodzieło ukochanej Babuni. Zniszczenie tej serwety, która nieczęsto gościła na stole, wydało mi się katastrofą. W tym momencie nie wyobrażałam sobie większego nieszczęścia. Jak je zażegnać? Wielki kataklizm wymagał równie potężnej interwencji. Tylko Bóg mógł mi pomóc! Wprawdzie moja religijna edukacja była raczej ukłonem w stronę zwyczaju niż wyrazem przekonań rodziny,

ale na szkolne lekcje religii chodziłam. Śpiewałam tam z zapalem „Dobry jeżu Anaszipanie”, „A pies znajomych niech cię zaprowadzi” i podobne. Myślałam o tych zwierzątkach z czułością. Gdy jednak spytałam zakonnicę o ich związki z Bogiem, wybuchła afera. Prymus, któremu kazano, by wytłumaczył mi właściwe brzmienie i sens tych pieśni, także nie stanął na wysokości zadania.

Zakonnica szalała. Kazała nam powtarzać po wielokroć: „Dobry Jezus, a nasz panie” oraz „A pieśń zbawionych niech cię zaprowadzi”. Byłam zawiedziona, pieśni straciły urok. Mimo tej i innych wpadek dotrwałam do pierwszej komunii i wystąpiłam w kościele w długiej, białej sukni, z wiankiem ze świeżych kwiatów na głowie. „Oto komunistka!” – śmiał się wtedy Ojciec.

Był zdeklarowanym ateistą. Mawiał:

– Jako człowiek tolerancyjny, nie odmawiam nikomu prawa do uprawiania swojej religii, żądam tylko, żeby nie uprawiał jej na mnie!

W takich chwilach wuj Henio oblewał się pąsem, przewracał oczami, składał ręce do modlitwy i mówił złowieszczo:

– Obyś przejrzał na oczy! Posłuchaj kazań naszego biskupa, może zawrócisz ze złej drogi!

Ojciec perswadował łagodnie:

– Niech każdy z nas idzie własną drogą!

Spory tych dwóch mężczyzn sygnalizowały prawdę ogólniejszej natury. Ludzie wierzący to w większości natrętni misjonarze; czują się w obowiązku nawracać niewierzących, a odmowy nie przyjmują do wiadomości. Ateiści zaś nie są zainteresowani zniechęcaniem bliźnich do ich wiary i praktyk, choć unikają takich, którzy ostentacyjnie „głoszą słowo boże”. Dopiero natrętnie atakowani sięgają po argumenty.

W momencie tej strasznej katastrofy poszłam w ślady wuja. Upadłam na kolana, złożyłam ręce. Pamiętałam z lekcji religii, że Boga należy błagać, więc błagałam:

– Pomóż mi, przecież możesz wszystko! Chodzi tylko o plamę, niech zniknie, błagam! Dla Wszechmogącego to nic, a dla mnie wszystko! Obiecuję być lepszym dzieckiem, jeśli tylko Babunia nie ucierpi wskutek mojej głupoty!

Ale Bóg pozostał głuchy. Plama ostentacyjnie zasychała na serwiecie, nic sobie nie robiąc z mojej wiary w boską interwencję.

Nie pamiętam, jak zostałam wtedy ukarana. Zapewne tylko wytknięto mi bezmyślność i brak szacunku dla cudzej pracy. Nie

doświadczałam kar fizycznych. Te praktykował wuj Henio wobec swojej trójki, powtarzając: „Rózczką dziateczki duch święty bić radzi, rózczka waszemu zdrowiu nie zawadzi...”. Jego potomstwo miało zakaz wychodzenia do kina oraz na jakiegokolwiek imprezy w niedziele i święta. Wuj podkreślał, że to jest zabieg wychowawczy, ochrona przed demoralizacją. A także przypomnienie, że dzień święty należy święcić, czyli spędzać go rano w kościele, a potem w rodzinnym gronie, przy rosole. Współczułam kuzynom, którzy biernie poddawali się tej tresurze.

U Józefa Hena przeczytałam, że przed wojną nie można było w Warszawie otworzyć kina Femina, ponieważ sprzeciwiał się tej jaskini rozpusty proboszcz z położonego naprzeciwko kościoła. Dopiero podczas okupacji kino ruszyło; wtedy już ksiądz nie odważył się protestować. Mój wuj-dewot ślepo słuchał instytucji Kościoła. Ta zaś, czujna jak zawsze, zorientowała się błyskawicznie, że kino jest dla niej konkurencją. Przyciąga ludzi, otwiera ich umysły, budzi krytycyzm. Po modłach o zniknięcie plamy przyszła mi do głowy zuchwała myśl: Boga nie ma. Gdyby istniał i był tak miłosierny, jak mówią, to przecież pomógłby nieszczęśliwemu, zdeperowanemu dziecku.

Drugą konfrontację z Bogiem miałam podczas wakacji. Wraz z rodziną wuja Henia pojechałam na wieś do zaprzyjaźnionego proboszcza. W upalną lipcową niedzielę wysłuchaliśmy mszy z udziałem chóru i solistki o mocnym, pięknym głosie. *Ave Maria* w jej wykonaniu zrobiło na mnie tak wielkie wrażenie, że kuzynki musiały mnie poszturchiwać: „Ocknij się, wychodzimy!”. Obiad jedliśmy na plebanii w towarzystwie tej pani. Okazała się równie piękna, jak utalentowana. Śmiała się perlisto, była miła dla wszystkich. Wuj Henio wylewnie ją komplementował, a szczęśliwy i dumny proboszcz powtarzał: „Prawda, że to prawdziwy anioł? Tak śpiewają tylko anioły!”.

Po obfitym obiedzie wszyscy rozpełzli się na zarządzonej przez proboszcza drzemkę. Tylko ja snułam się po ogrodzie, sycąc zmysły zapachami i kolorami lata. Intensywnie pachniały okalające plebanie lipy. Ze wsząd słyszałam szum skrzydeł pracowitych owadów, a idąc w ślad za nimi, odkrywałam coraz to nowe wyspy kwiatów. Oszołomiona tym koncertem przyrody dotarłam pod otwarte niskie okno. Zajrzałam do środka, bo wyraźnie coś się tam działo.

Proboszcz i piękna chórzystka walczyli ze sobą w jakimś strasznym zwarcu. Nadzy unosili się i opadali na łóżko, raz jedno, raz drugie było górą, ich nogi to zwierzały się, to znów opadały. Towarzyszyły tej walce

dziwne mlaskanie ciał i jeszcze dziwniejsze głosy obojga. Nie słyszałam w nich niechęci ani przerażenia. Przeciwnie, wyrażały aprobatę, brzmiały jak czułe zawodzenie. Z zadyszką.

Uciekłam stamtąd. Nie mogąc otrząsnąć się z szoku, skryłam się w najciemniejszym kącie ogrodu. Nie miałam pojęcia, czego byłam świadkiem. Co robili ci ludzie, których jeszcze godzinę wcześniej podziwiałam jako uduchowionych, niepospolitych, prawie unoszących się nad ziemią? Dlaczego stali się tak pokraczni, szpetni, a zarazem... komiczni? O „tych sprawach” wiedziałam tyle, że dzieci biorą się z miłości kobiety i mężczyzny. W powieściach roilo się od niedopowiedzeń, a słowo seks nie istniało. Sceny, które przed chwilą oglądałam, mogłam kojarzyć co najwyżej z przemocą, z napadem jakiegoś szału, ale nie z miłością!

Następnego dnia wróciliśmy do domu. Nigdy więcej nie spotkałam księdza B. ani pięknej sopranistki. Duszpasterz wyjechał na misję do Brazylii i słuch o nim zaginął. Listy wysyłane przez wuja Henia wracały z adnotacją „Adresat nieznany”. Może zrzucił sukienkę, zatarł ślady i zaczął tam żyć jak normalny człowiek, z dala od dawnej firmy?

Z nikim nie rozmawiałam o scenach, których byłam mimowolnym świadkiem. Ale wspomnienia wracały w złych snach. Dopiero gdy starszy kuzyn uświadomił młodszą gromadkę, co dorośli robią w łóżku, zrozumiałam. Po raz drugi odbyłam rozmowę z Bogiem. Tym razem żądałam wyjaśnień. Czy jego funkcjonariusze, którzy tyle mówią dzieciom o moralnej czystości (dopiero wtedy pojęłam, o co im chodzi), sami mogą robić, co chcą? Czy ci obłudni mężczyźni w sukienkach, których wuj Henio uważa za najwyższe ziemskie autorytety, mają prawo domagać się szacunku?

Bóg znowu dał mi kosza. Wkrótce zrewanżowałam mu się tym samym. Gdy ksiądz uczący w szkole zakomenderował: „Dziewczynki w najkrótszych spódnickach – do pierwszego rzędu!”, nie tylko odmówiłam, ale i zakomunikowałam w domu, że na lekcje religii chodzić nie będę. Ojciec odetchnął z ulgą: „No, to dość hipokryzji!”. Wkrótce poszłam do liceum, gdzie religii nie było. Nie było dbałości o czystość moralną, były za to praktyczne starania o higienę i zdrowie.

W szkole znajdował się gabinet stomatologiczny, pracowała też pielęgniarka (higienistka), która nie tylko służyła pomocą w nagłych wypadkach, ale również prowadziła pogadanki, na przykład o tym, o czym powinny wiedzieć dziewczęta. Anonimowe pytania na kartkach, poważne odpowiedzi wobec całej klasy. Edukacja seksualna w pełnym wymiarze,

Panienka ze dworu. Zaczynij myśleć o myśleniu!

za co rodzice byli wdzięczni. Nikomu nie przychodziło do głowy kołtuńskie tropienie demoralizacji albo seksualizacji. Co jakiś czas w szkole pojawiał się lekarz, aby mówić o trudnych tematach, które suflowała mu pielęgniarka. Dziś różni nabzdyczeni moralizatorzy głoszą, że edukacja seksualna narusza prawa rodziców do wychowywania dzieci zgodnie ze swoimi przekonaniem. Piramidalna bzdura! Edukacja jest przekazywaniem wiedzy, przekonania zaś to skumulowane sądy potoczne, stereotypy, podtrzymywane w środowisku. Wielu Polaków jest przekonanych, że w Częstochowie mieszka Matka Boża, Królowa Polski; medalik ze św. Krzysztofem, zawieszony w aucie, chroni przed wypadkiem; choroby są karą za grzechy; dzieci zaś biorą się z woli bożej, ludzka aktywność tu nie wystarczy. Ludzie mają prawo do swoich przekonań, ale obowiązkiem szkoły publicznej jest dostarczanie uczniom zweryfikowanej naukowo wiedzy, a nie wzmacnianie przekonań rodziców.

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki

45 lat PRL nie da się wymazać z historii. Okres od 1944 do 1989 r. nie jest „czarną dziurą”.



„Polska Rzeczywiście Ludowa”, 2 tomy – zbiór artykułów o głównych wydarzeniach z okresu PRL. Bronisław Łagowski, Ludwik Stomma, Andrzej Walicki, Bohdan Piętka i inni autorzy piszący o dziejach Polski Ludowej w sposób zrównoważony i nietuzinkowy.

Odrutka na IPN-owską propagandę – nasz pakiet książek o historii Polski Ludowej.



„Nowa Huta – wyjście z raju” – reporterska opowieść Leszka Konarskiego o jednej z największych inwestycji czasów PRL. Budowa nowego miasta, historie mieszkańców, warunki pracy i życie społeczne opisane przez znawcę tematu.

Kupujcie, czytajcie, propagujcie!

Zapraszamy do zakupów naszych książek na stronie sklep.tygodnikprzeglad.pl, pod adresem sklep@tygodnikprzeglad.pl lub pod numerem tel. 22 635 84 10.

[Kup książkę](#)

Czytaj tygodnik PRZEGLĄD

– niezależny tygodnik opinii!

Piszemy:

- O sprawach społecznych bez uprzedzeń!
- O polityce bez sloganów!
- O historii bez propagandy!

Znajdziesz u nas tematy, o których nie piszą inni.



Tygodnik PRZEGLĄD jest dostępny również w ramach **elektronicznej prenumeraty** lub pojedynczego **e-wydania**

www.tygodnikprzeglad.pl

SZUKAJ NAS NA

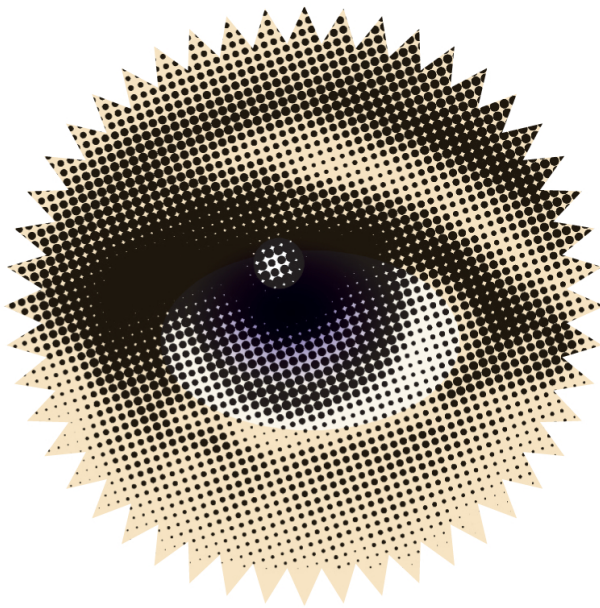


[Kup książkę](#)

Ewa Nowakowska

Autorka (rocznik 1944)

jest socjolożką, absolwentką Uniwersytetu Warszawskiego. Jej wykonywanym zawodem i sensem życia było zawsze dziennikarstwo, które od pewnego czasu uprawia głównie „do szuflady”. Wyjątkiem są gościnne łamy „Przeglądu”. Rozpoczęła pracę zawodową w tygodniku „Kierunki”, by wkrótce znaleźć swoje miejsce w zespole „Polityki”. Zajmowała się reportażem społecznym, zdobywając nagrody w konkursach krajowych (nagroda główna w turnieju reporterów im. Melchiora Wańkowicza w 1986 r.) i publicystyką (nagroda im. Bolesława Prusa za „niezmiennność poglądów i zaangażowanie w najbardziej kontrowersyjnych tematach 1991 roku”). Jej reportaże znalazły się w tomach zbiorowych (*A dąb rośnie. Warmia i Mazury w reportażu po 1945 r.*, 2002 r.). Wydała (wspólnie z Agnieszką Metelską) tom wywiadów z kobietami-polityczkami okresu transformacji (*Gdzie diabeł nie może*, 1992 r.). Słucha muzyki klasycznej; uważa ją za niezbędny akompaniament życia. Popularyzowała tę muzykę na łamach „Magazynu Muzycznego – Jazz”. Ma ogród, gdzie prym wiodą niepospolite pnącza: akinidia, kokornak, wisteria.



Spóźnieni, ale ciągle bezkompromisowi wojownicy z PRL-em nadal łkają, że jedynym artykułem stale dostępnym w sklepach był ocet. Gdy spanikowani ludzie kupowali wszystko na zapas i na wszelki wypadek, popyt na ocet był najwyraźniej mniejszy niż jego zapasy. Ktoś go jednak kupował, skoro wyrosło na nim tylu ludzi z octu – wykrzywionych nienawiścią do wszystkiego, co odmienne, kwaśnych, chociaż gęby mają pełne wzniosłych zasad!

Obecni sarmaci kultywują wiarę w życzliwą Opatrzność i własną wyższość moralną nad zepsutym światem. Ale przecież nie dziedziczą tej mentalności biologicznie, bo wywodzimy się z chłopstwa, szlachta stanowiła zaledwie jedną dziesiątą narodu. To są dziedzice polityki historycznej. Spadkobiercy mitów tworzonych „ku pokrzepieniu serc”. Nasza tak zwana pamięć narodowa jest usiana mitami. Przenosi się je do współczesności, wyciągając z lamusa Henryka Sienkiewicza, klasyka zaściankowości. *Nieszczęściem Polski jest to, że jej historia jest zakłamaną jak nigdzie na świecie* – ubolewał Jerzy Giedroyc.

O czym i po co jest ta książka?

Pewien nastolatek, zapytany o to, jaki obraz PRL wyłania mu się ze szkolnej i potocznej narracji, odpowiedział: – Ogólnie biorąc, było nieciekawie i nie ma do czego wracać. Dla jego pokolenia to odległa przeszłość. Oni wychodzą na ulice, kierowani lękiem o przyszłość: chcą ratować Ziemię przed zagładą klimatyczną. Jestem z nimi, ale nie chciałabym, aby czasy mojego pokolenia były dla nich czarną dziurą, niewartą pamiętania lub – co gorsza – karykaturą, odbitą w krzywym zwierciadle prawicowej propagandy. Dlatego zebrałam w jedną opowieść przeżycia i przemyślenia znanego mi grona rówieśników Polski Ludowej. Narracja w pierwszej osobie nie oznacza, że spisałam jednostkowy życiorys. Na opowieść składają się fakty z życia całego grona zaprzyjaźnionych i podobnie myślących osób – fakty, nie fikcja literacka. PRL dał swoim rówieśnikom niepowtarzalne szanse wykształcenia i awansu. Jedni to doceniają, jak ów znany dziennikarz, który powtarza, że w niezmiennych okolicznościach ustrojowych pasałby, wzorem przodków, folwarczne krowy. Inni przemilczają. Jeszcze inni udają, że rozpoczęli życie jako dojrzały „pogromcy komuny”, a co wcześniej, to nie oni. Nikt jednak nie oddał zdobytego w Polsce Ludowej dyplomu ani innych benefitów. Ale wrażliwszych spośród tych, którzy zawrócili pociąg historii i stali się beneficjentami nowego politycznego rozdania, peerelowskie wykorzystane szanse uwierają, jak cierni.